WIESŁAW.

SIELANKA KRAKOWSKA

PRZEZ

Kazimirza Brodzińskiego.

WYDANIE POPRAWNE.

BOCHNIA.
DRUKIEM WAWRZYŃCA PISZA.
1858.

Spir.

Krol Karo

7 treff

8 Röt

10 treff

9 pik

9 Karo

Wiesław.

1.

Z żoną Stanisław wychodzi z komory,
Wnosi do izby dwa pieniężne wory,
Czterysta złotych ułożył na ławie,
I tak powiada: „Zgarnij to Wiesławie!
Idź do Krakowa, a za te talary,
Kup mi dwa konie i wybierz do pary,
Syn mój jedyny na wojnie zabity,
Mnie schyla niemoc i wiek nieużyty,
Nie mam z chudobą poufać się komu,
Ty prawą ręką jesteś w moim domu;
A skoro pomrę, tyś rodziny głowa,
Jeżli, daj Boże! córka się uchowa.
Ma lat dwanaście, nie skąpéj urody,
Możesz jéj czekać, sameś jeszcze młody."

„Tak jest! dla ciebie (Bronisława powie)
Strzegę téj córki, jakby oka w głowie,
A cóż droższego mieć możesz od matki?
Jedneć to moje przed grobem dostatki."

Bronika matkę objęła za szyję,
I wstyd rumiany na jéj piersi kryje,
Lecz pusty uśmiech zwraca na Wiesława
A daléj smutna rzekła Bronisława:

∴∴

„Miałam ja drugą, litościwy Boże!
Oko się za nią przepłakać nie może.
Zaledwie piąty kwitnął owoc sadu,
Gdy mi zniknęła, jako cień bez śladu;
Już to dwunastym liściem wiatr pomiata,
Jak myśli matki zatruwa jéj strata.
Gdy wojna polskie dobijała plemię,
W pustkach wsi stały a odłogiem ziemie,
Okólnych lasów i wiosek pożary,
Gniewu Bożego zwiastowały kary;
Z wiatrem, co strzechy i konary walił,
Do nas wróg przybył i wioskę zapalił.
Dzień to był sądu: śród płaczu i gwaru,
Wśród ciemnéj nocy, wichrów i pożaru,
Razem rolnicy ku obronie bieżą,
Razem się wojsko ciśnie za grabieżą;
W téj walce z dymem znikła nasza strzecha,
Wtedy mi córka, jedyna pociecha,
Znikła bez śladu. Przez długie ja czasy
Chodziłam za nią na wioski i lasy;
Ale, jak kamień do Wisły rzucony,

Zniknęła wiecznie, głuche każde strony.
Co rok do kłosów przychodzą oracze,
A ja dziecięcia nigdy nie zobaczę;
Na świat széroki próżno rzucać oko,
Świat nie pocieszy, a Niebo wysoko;
Niech wola Boska, będzie Boska chwała!
Ciebiem ja za nię, synu! wychowała;
Bo gdzie siérota przyjęta pod strzechę,
Tam z niebem bliższy Bóg zsyła pociechę.
Może też moje utracone dziécię,
Podobnie kędyś na szérokim świecie,
Litość znalazło, żyje gdzie u matki,
Pomiędzy własne policzone dziatki.
W takiéj ja myśli po ojców twych stracie,
Ciebie małego wychowałem w chacie;
Litość za litość. Niebieska opieka,
Tajnie nadgradza uczynki człowieka;
A jeśli ziemia strawiła jéj kości,
Swobodna dusza w krainach przyszłości,
Igra wesoło przy niebieskiéj matce,
I łaskę nieba zwabia naszéj chatce,“

⟵⟶

Tu Bronisława zalała się łzami,
Rade łzy płyną za matki myślami.
Płakała zaraz i córka przy boku;
Lecz łzy męzkiemu nie przystojne oku.

Kryjąc Stanisław, karci smutek żony:
„Jaki los w niebie komu naznaczony,
Próżno się troskać: Bóg siedząc wysoko,
Nad całym światem opatrzne ma oko:
Wszakże on Ojcem na wieki i wszędzie,
Co pod nim było, pod nim jest i będzie.
Lepsze nad smutek ufanie pobożne,
Idź! Wiesławowi przygotuj nadrożne.
Ty wyjdź o świcie, a chroń się przygody,
Bo zawsze wiele ufa sobie młody;
Przynieś twéj przyszłéj podarunek z drogi.“

Wiesław obojgu kornie ścisnął nogi,
I wyszedł z chaty przeniknioiny cały,
Że takich ojców niebiosa mu dały.

2.

Już wonny wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnéj wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe pląsy i śpiewanie.
Parskając konie biegną po gościeńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu,
Biją drużbowie w podkówki ze stali;
A gdy wędrowca mile powitali,

Tak rzekł starosta, zarządzca wesela:
„Dobrze to w każdym zyskać przyjaciela!
Witajcież do nas wy z Proszowskiéj ziemi!
Nie chciéjcie gardzić dary ubogiemi,
Pożyjcie z nami, czém tu gospodarzy
Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
Napatrzycie się Krakowskim dziewojom,
Wymyślnym tańcom i przecudnym strojom;
Wreszcie i w tany sunąć nie zaszkodzi,
Bo choć strudzeni, widzę, żeście młodzi."

***

Na to Halina przystępuje młoda,
W całém weselu najpierwsza uroda;
Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasto z koszyka i owoc podaje:
„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba
Naszych owoców i naszego chleba!"
A przytém uśmiéch jakowyś uroczy,
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie,
Okiem i duszą został przy Halinie.

***

Wchodzi do izby na wesołe tany,
Z kupkiem od drużbów Wiesław powitany;
Potém starosta, zarządzca wesela,
W te słowa drużbom porady udziela:

„Jużci pierwszeństwo zostawić obcemu,
Niech idzie w tany, niech też po swojemu,
Skrzypkom zanuci, dziewoję wybierze,
Bo z obcym trzeba uczciwie i szczérze.“

I wybrał druchnę, któréj wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
Naprzód wychodzi, przed muzyką staje,
Halina w pląsach rękę mu podaje,
Za nim się w koło młodzieńcy zebrali,
Nucą i biją w podkówki ze stali.
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą;
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie.
Halina pląsa z miną uroczystą,
Oburącz szatę ująwszy kwiecistą;
On tupnął, głowę nachylił ku ziemi,
I zaczął nucić słowy takowemi:

Niechże ja lepiéj nie żyję,
Dziewczę! skarby moje!
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje.
Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,

Że mi ledwo nie wyskoczy
Serduszko do ciebie.

Bierze Halinę, i tak w około,
Przodkując drużbom, tańczy wesoło;
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w pląsach tak dalej nuci:

Czemuż ja w Proszowskiéj ziemi
Małe zaznał dziécię,
Byłbym między Krakowskiemi,
Najszczęśliwszy w świecie.
Krew nie woda ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek pragnie i układa,
A wszystko Bóg sądzi.

Halina w pląsach przed nim ucieka,
On w ręce klaszcząc goni z daleka;
A gdy dogoni, z ujętą wróci,
Staje i w pląsach tak dalej nuci:

Nie uciekaj ptaszku luby,
Moje sto tysięcy!
Dogonię ja mojéj zguby,
I nie puszczę więcéj.

Krąży słowik w szumnym lesie,
Gałązek się czepia,
Aż dognany, piórka niesie,
Gniazdeczko ulepia.

Sam teraz w pląsach przed druchną stroni,
A ona za nim poskocznie goni,
I dogoniony, gdy znowu wróci,
Staje i w pląsach tak przed nią nuci:

Gospodarzu! nie dasz wiary,
Jak konie opłacę;
Wydałem ja twe talary,
Moje serce stracę.
Grajcie skrzypki! bo się smucę
W opłakanym stanie,
Z konikami ja powrócę,
Serce się zostanie.

Dłoń mu podała, a on w około,
Przodkując drużbom, tańczy wesoło;
A gdy do nowej piosenki stanie,
Skrzypek drzymiący zakończył granie.

Na to Halina zapłoniona cała,
Między teścine za stół uciekała;
Wiesław staroście i matkom się kłania;
Słychać w około pokątne szemrania.
Długo się Wiesław gościnnie weselił,
Już się też dzionek nad górami bielił;
Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
Wciąż mając w uszach i śpiewy i granie;
W sercu niepokój, a myśli jedynie
Krążą niewolne przy pięknéj Halinie.

3.

Pośpieszał Wiesław i lasem i polem,
Ale się ostać nie może przed bólem;
Bo gdy chęć jedna raz serce osiędzie,
Daremny namysł i rozsądek będzie;
Przeto co myślał, co czynić przystało,
Stanowi wyznać otwarcie i śmiało.

Oczekiwany wjechał do podwórka;
Wybiegł Stanisław i matka i córka,
Głaszcząc koniki i wiążą u płotu,
Cieszą się wszyscy z prędkiego powrotu,
Z taniości kupna i z koników radzi;
Sam je Stanisław do stajni prowadzi,

Rychłą wieczerzę rozkazuje matce;
Skoro milczący Wiesław usiadł w chatce,
Matka go z córką o zdrowie pytały;
Milcząc, Bronice dał gościeniec mały.

Przybył też razem i sąsiad ciekawy,
Dobry do rady, dobry do zabawy,
Jan, co za stołem nie jednym już siadał,
Jak mądrze myślał, tak i prawdę gadał;
Ale się wszystkim dziwno wydawało,
Że Wiesław smutny i mówi tak mało.
Wszedł i gospodarz; do stołu zasiedli,
Skromną wieczerzę przy rozmowach jedli;
Matka zaś oka nie spuści z Wiesława,
Dziwną w nim jakąś odmianę poznawa.
„Powiedz nam (mówi), co tobie się stało?
Że smutny siedzisz i mówisz tak mało?
Milczący zawsze sam sobie zaszkodzi,
Nigdy młodemu skrytość się nie godzi."

On spuścił oczy, wstydem się zapłonił,
Stanisławowi do nóg się ukłonił,
I zaczął mówić słowy takowémi:
„Prawda, że szczérze trzeba ze starszymi,
Oni porywczéj młodości wybaczą,
I mądrą radę zawsze podać raczą.

Czemużem w domu nie został na wieki,
Wdzięczen łask tylu i waszej opicki!
Przy waszym pługu chodziłbym spokojny,
Anibym zaznał trudnéj z sercem wojny;
Lecz darmo człowiek sam o sobie radzi,
Inaczej myśli Bóg o swéj czeladzi;
Prędki bez wieści spada wyrok boski,
Na mojéj drodze pośród jednéj wioski.
Poznałem druchnę, któréj wdzięk uroczy,
Zabrał mi serce i zniewolił oczy,
I tyle sprawił, że odtąd jedynie
Sercem i duszą jestem przy Halinie.

Ojcowie moi już królują w niebie;
Wyście sierotę przyjęli do siebie,
Nie żałowali ni trosków ni chleba,
Uczyli pracy i bojaźni Nieba;
Dziś jedynaczkę córkę w swojéj chacie,
Dla mnie w zamęźcie i z wianem chowacie.
Jeszcze, mówicie, byłem dzieckiem małém,
Gdy ją w tych kątach sobie kołysałem.
Ni mię niewdzięczność, ani harda dusza,
Odkryć przed wami tę boleść przymusza;
Ale mi rada niedościgła w niebie,
Was każe smucić a zawstydzić siebie.
Puśćcież mię, puśćcie, z rękoma gołemi!
Pracować będę pomiędzy obcemi

Bo bez Haliny nic już nie zarobię,
Niezdatny ludziom i nie miły sobie,
Prędkobym znalazł koniec życiu memu,
Pobłogosławić chciéjcież ubogiemu!
Bo ten przed nędzą nigdzie się nie schroni,
Kogo przeklęstwo dobroczyńców goni.
Sprawcie! Bóg za to niech będzie nad wami!

⊙⊙

Tu Bronisława zalała się łzami;
Bronika patrzy dużemi oczyma,
Ciekawość tylko na jéj ustach trzyma,
Uśmiech pustoty; ale gdy ujrzała,
Że tu i Wiesław i matka płakała,
Wnet Bronisławę objęła za szyję,
I łzy niewinne na jéj łonie kryje.
Stanisław milcząc podparł siwą głowę,
I po ojcowsku rzekł słowa takowe:
„Kiedy twój ojciec żegnał ziemskie życie,
Ciebie mi oddał jak za moję dziécię;
Tak cię też kocham, i widzi Bóg w niebie,
Że nic milszego nie miałem nad ciebie;
A ty niepomny, że mię starość gniecie,
Chcesz na przygody puszczać się po świecie,
Chcesz mię opuścić za to, żem Cię chował,
Żem tobie córkę i dom mój hodował.
Nieszczęście wniesiesz do każdego domu,
Gdy mnie zostawisz śród żalu i sromu;

Młody! niebaczną wziąłeś przed się drogę,
Ja cię przeżegnać, ja puścić nie mogę."

+OO+

Tu żona płacząc wyszła za próg chatki,
Bo czuła razem srom i miłość matki;
Za nią Bronika z trwogą i łzą w oku;
Wiesław, twarz kryjąc, stał kornie na boku.
Płakali wszyscy, Jan milczący siedział,
Gdy się namyślił, tak mądrze powiedział:
„Stary młodemu wyrozumieć nie chce,
Młodego nowość i swoboda łechce;
Zwiąż go miłością i osyp go zbiorem,
On dalej patrzy, bo mu świat otworem;
Nieszczęściem jemu najmilsza niewola.
Tak i na wiosnę ptak okrąża pola,
Płochy i dumny, ufny w siłę młodą,
Rzéki i skały przebywa z swobodą,
Aż miłym głosem zwabiony zostaje;
I odtąd jedne zamieszkuje gaje,
Gdzie swoje szczęście i pokój znachodzi,
Te prawa mają, tę naturę młodzi.
Za nic już wszystko, gdy na całe życie,
Wolną mu teraz drogę zagrodzicie.
Nie w nim też może dla Broniki szczęście,
Z woli ma płynąć niewolne zamęście.
Jako kwiat córka obcéj ręki czeka,
I traf młodzieńca przyniesie z daleka;

Dla tego dajcie wolność Wiesławowi,
O swojém szczęściu sam niechaj stanowi.“

Na to Stanisław: „Mądrze wy mówicie,
Ale nie znacie, co to stracić dziecię.
Dla czego ojciec w troskach życie trawi,
Czém się lat wiele utroska, ubawi,
Z czém żyć nawyknie i pracować w domu,
To weźmie przybysz nieznany nikomu;
Weźmie dobytek krwawo dochowany,
Gołe i głuche zostawi im ściany,
Gdzie zapomniani samotne łzy sączą,
Gdy córkę z obcym obowiązki łączą.
Przeto już dawne były myśli moje,
Bym ich przy sobie połączył oboje,
Ażeby matka kiedyś, po méj stracie,
Teścinéj obcéj nie służyła chacie.
Lecz myśli niczem, gdy Bóg nie dozwoli;
Przeto, Wiesławie! oddaję twéj woli.
Uprośże Jana, wezwij jego rady,
Może sam z tobą uda się na zwiady,
Może się wszystko inaczéj wyświeci,
Co z wiatrem przyszło, to z wiatrem przeleci.
Lecz, jeśli przyszła serce tobie święci,
Jeśli rodziny poznasz dobre chęci,
Uproś sąsiada, niechaj zacznie swaty,
Jak syn synowę przywiedź mi do chaty.“

4.

Idzie Jan z tęsknym Wiesławem na zwiady,
Wiesław daleko przed nim znaczy ślady;
Bo go i miłość i młodzieńcza siła,
Przez góry, doły, prędzéj prowadziła.
A gdy przybyli, gdzie mieszkała córka,
Taką pieśń nucą za płotem podwórka:

Kwiatami grzęda osuta
Kwitnie rozmaryn i ruta,
Na okienku wianek leży,
Jest tu córka dla młodzieży.

Przyjdzie młodzian z obcych błoni,
Ojcu, matce się pokłoni;
Zerwie panna swoje kwiaty,
Do teściowéj pójdzie chaty.

Raz ostatni rozmaryny,
Uwieńczycie skroń dziewczyny;
Zielona ruto na grzędzie,
Nikt cię polewać nie będzie!

Schludna chata, choć uboga,
Za rządnością pomoc Boga;
Skrzeczy sroka na jaworze,
Panna stroi się w komorze.

Otwiérajcież! przyszli goście,
I życzliwie w dom zaproście;

Chociaż obcym bądźcie radzi,
Dobra nas tu chęć prowadzi.

Wyjrzała oknem od kądzieli matka,
Skrzypła zapora otwarła się chatka;
Wszedł Jan sędziwy, Wiesław okazały
Głową wyniosłą dosięgnął powały.
Jadwiga rzekła: „Witajcie nam goście,
Siądźcie i z Bogiem dobrą wieść przynoście!
Z komory wyszła Halina z rumieńcem,
Skłoniła głowę przed znanym młodzieńcem,
A Jan powiedział: „Oj widzę, że godne
I starca drogi lica tak urodne!“

Kiedy Halina słyszy taką mowę,
Rumianych wdzięków przybyło połowę;
Koszyk podróżny zdejmuje z młodziana,
Bierze i laskę sędziwego Jana;
Wnet czystą ławkę do stołu przynosi,
A matka gości do spoczynku prosi;
Mówi do ucha wstydliwéj Halinie:
„Niech się roznieci ogień na kominie,
Niech będzie rychło wieczerza gotowa!

Jan, gdy odpoczął, w te przemówił słowa:
„Niech gospodyni przeto nie obrażę,

Czyniąc, co dawny obyczaj nam każe;
Ojców zwyczaje, toć krewieństwo nasze.
Przeto Wiesławie daj z koszyka flaszę!
A gospodyni kubka nam udzieli,
Miernie użyty trunek rozweseli.
Śmielszemi czyni ukrywane chęci,
I tajność serca przed oczy wyświęci.
Bo jak oblicze oglądamy w zdroju,
Tak dusza wiernie wyda się w napoju,
Pszczółki na ziemi pierwsze gospodynie,
One po całej opatrznej krainie,
Zbiorów szukały; ochronne przy zgodzie,
Wzbudziły przemysł i w ludzkim narodzie.
A jak na wiosnę gospodarna pszczoła,
Gdy się sad bieli i wonieją zioła,
Niesie w ul siostrze uzbierane miody,
Tak niesie młodzian z rodzinnej zagrody.
Kubek słodyczy, przy życzliwej chęci,
Tej, której serce niewolne poświęci;
Bo równa pszczole jest miłość wieśniacza,
Słodycz i zgodę i pracę oznacza."

—OOO—

Podała matka kubek na te słowa,
Poszła do serca wszystkim Jana mowa;
Bóg go też wielkim rozumem obdarzył,
Już on nie jedno krewieństwo skojarzył,
Starostą bywał na każdem weselu,

I chrzestnym ojcem zwią go w domach wielu,
Przeto gdziekolwiek przyjdzie w odwiedziny,
Jest jakby w domu u swojéj rodziny.
W podany kubek nalał Wiesław miodu:
„Przyjmij tę kroplę z obcego ogrodu,
Piękna Halino! jak tobie słodyczy
Na całe życie serce moje życzy.“

Na to Halina pytającém okiem
Patrzy na matkę; odwrócona bokiem
Białe odzienie zarzuca na głowę
Tak zasłoniona wypełnia połowę,
Połowę Wiesław wypełnił aż do dna;
A jako zorza za gajem pogodna,
Kryjąc się, błyszczy rumieńcem Halina.

Jan dziewosłęby w te słowa zaczyna:
„Kiedy tak córka chęć życzliwą dzieli,
Już do was, matko! mówić mię ośmieli.
Gdzie młodzież idzie za serdeczną władzą,
Niech ją z namysłem starsi doprowadzą.
Młodość nie widzi, przyszłości nie bada,
Jako w kochaniu, ufność w losie składa;
A to odmienne, nieprzyjazne rzeczy;
Szczęście więc starsi muszą mieć na pieczy:

Wszystko przewidzieć, w szczérości pogadać,
A z resztą ufność na Bogu zakładać.
Poczciwych ojców widzicie tu syna;
Chociaż pod ziemią śpi jego rodzina.
Ma przecię ojców, co litością zdjęci,
Mając kumostwa powinność w pamięci,
Nie żałowali dla siéroty chleba,
Uczyli pracy i bojaźni nieba;
Sprawiał się godnie, że go synem zowią,
I część chudoby dla niego stanowią.
Nie jestci u nich gospodarstwo liche,
Praca sierpowa nie idzie pod wiéchę;
Co tydzień wniesie, nie straci niedziela;
Bóg téż rządności, pomocy udziela:
Czystą przenicę niesie czarna rola,
Wełniste owce zabielają pola.
W schludnych stajenkach bydełko się chowa,
A cztéry konie jeżdżą do Krakowa.
Z ich to poręki ja do was przychodzę;
Poznał się Wiesław z Haliną na drodze,
Jak pewno wiécie, i ojcom wyjawił,
Że swoje serce w jéj sercu zostawił."

Na to Stanisław rzekł mu słowem takim:
„Jesteś mi prawda w domu jedynakiem;
Lecz jeśli miła serce tobie święci,
Jeśli rodziny poznasz dobre chęci;

Uprośże Jana, niechaj zacznie swaty,
Jak syn synowę przywiedź mi do chaty.""
Te słowa, matko! wiernie wam odnoszę,
I w imię ojców o córkę was proszę.
Niechaj Bóg dobre rodziny zjednoczy!
Nie chcę młodego wychwalać wam w oczy,
Często pochwała, choć i słuszna, szkodzi,
Bo lepiej, kiedy nie znają się młodzi,
Zawcześnie już się u celu być mienią,
Raz pochwaleni przestrogi nie cenią.
Choć pracowity choć posłuszny w domu,
Bywał i Wiesław szpakiem pokryjomu:
Zajechać drogę, choćby wojewodzie,
Rej nad muzyką prowadzić w gospodzie,
W karczmie zaczepiać cesarskie wojaki,
Wyśmiać wędrownym Goralom chodaki,
Toć były dotąd jego obyczaje,
Młodemu wszystko zarówno się zdaje;
Bo jak na wiosnę pędzi potok w biegu,
Pieni się, szumi i wylewa z brzegu,
Aż dalej cicho płynie w swem korycie;
Tak młodzian siłą udarzon obficie,
Musi wyszumieć, aż w troskach stateczny
Jak jabłoń z czasem traci kwiat zbyteczny.
Zawsze też dobra i stateczna żona
Resztę wychowu w młodzieńcu dokona;
Nauczy myśleć, jak dobytek zbierać,
Jak się na przyszłość niepewą obzierać.

To wam powiadam o naszym Wiesławie,
Bom mu był świadkiem od dzieciństwa prawie,“

Bacznie Halina, stojąca na boku,
Śledziła prawdy w Wiesławowém oku;
Jan, mówiąc prawdę, wiedział, że nie ranił,
Dziewczęta lubią błędy, które ganił.

Ale łza błysła w źrenicy młodziana,
Potém się nisko skłonił do nóg Jana,
Skłonił się matce, milcząc, pełen sromu,
I było długie pomilczenie w domu.
W tenczas Halinie także łzy wytrysły;
Jako na wiosnę nad brzegami Wisły,
Gdy wonny deszczyk obłoki wyleją,
Kwiaty zroszone błyszczą się nadzieją.
A razem słońce za górami świéci;
Tak, gdy z otuchą łzy roniły dzieci,
Jan z matką na nie poglądali z boku,
Miła pogoda jaśniała im w oku.

Rzewniło matkę to dziewicy szczęście;
Lecz nie Halinie bogate zamęście,
Która sierota bez ojca i matki,
Nie miała wiana ni rodzinnej chatki!

W szczérości zatém, jak każe sumienie,
Takie Janowi czyni oświadczenie:
„Jest Bóg widzący na niebieskim dworze,
Doświadcza ludzi w szczęściu i pokorze;
Czy kogo zniży, czy w górze osadzi,
Patrzy, jak wszędzie człowiek sobie radzi.
Halina moja, co w ubogim bycie,
Przepracowała dotąd ze mną życie,
Nie wierzy słońcu, które niespodzianie,
Przed nasze teraz zabłysło mieszkanie.
Na stan jéj niski wysoka jagoda!
Nie dla niéj kmiecia ręka i zagroda,
Bo nie ma ojców ani przyjacieli,
Coby o wianie dla niéj pomyśleli;
Przeto młodzieńcze! niech cię Bóg poświęci,
Za dobre serce i życzliwe chęci!
Teraz słuchajcie o losie Haliny,
I to do waszéj odnieście rodziny:
Gdy się los zawziął na Polską koronę,
Szedł mój mąż także z kosą na obronę,
I już nie wrócił. Obcy bez litości
Grabili dwory, zapalali włości;
Doznał, co trwoga, kto pomnie te czasy,
Starcy i matki pokryli się w lasy;
Ale i w lesie zajęły się sosny,
Byłci to widok straszny i żałosny,
Gdy ta ostatnia gorzała uchrona;
Na milę wielka rozciągła się łona.

Dzieci i matki błądziły tłumami,
Przy drodze na to patrzałam ze łzami;
A że mi dziécię zastąpiło drogę,
Do serca, płacząc, utulam jak mogę,
Pytam o imię, rodzinę, mieszkanie;
Ale daremna prośba i pytanie.
Dziécię zaledwo znało swoje imię,
Mówiło tylko, że w okropnym dymie,
Nieznani ludzie wiedli je do lasu;
Więcéj nic nie wiem aż do tego czasu.
Ja, matka niegdyś, pamiętna na Boga,
Wzięłam siérotę, choć sama uboga;
Użyłam trosków, lecz była ich godna,
Wyrosła zdrowa, pracowna, urodna.
Obiedwie teraz pracujem na siebie,
W jednych żyjemy troskach i potrzebie;
Pracą łagodząc ubóstwo uporne,
W cudzéj zagrodzie siedzimy komorne.
Bez skiby ziemi; jałówka, dwie krówek,
Kilka owieczek, cały nasz dochówek.
W lecie sąsiadom pracujem przy żniwie,
Za to nam zagon odstąpią na niwie;
Tak len siejemy a wieczorna przędza,
Resztę domowéj potrzeby opędza.
Brzmią tu wesela na każde zapusty,
Lecz to nie dla niéj, nie dla niéj odpusty,
Na których pannom kupują pierścienie;
Tam gdzie stodoły i bogate mienie,

Tam zalotniey. Nic zwabi młodziana,
Przybysza córka bez ojców i wiana.
Jak była dotąd niebieska opieka,
Tak przeznaczenia u Boga niech czeka;
Ufam, że póki niemoc mię nie strawi,
Już mię Halina samej nie zostawi.“

**

Na to Halinie łza z oczu wytryska,
Klęka przed matką i kolana ściska:
„O miła matko! tyś jest moje wiano!
Choćby mi góry ze złota dawano,
Choćbym mieszkała w malowanym dworze:
Jedwabne szaty chowała w komorze:
Tobym bez ciebie przepłakała życie.“
Tak się ścisnęły, lejąc łzy obficie;
A Jan milczący bacznie radość chowa,
Wykraść się chciały niecierpliwe słowa,
Bo dusza pełną była ważnych myśli,
Na twarzy tylko wesele się kreśli.
Chciał mówić Wiesław, ale go Jan bacznie,
Ostrzegł pocichu, i tak mówić zacznie:
„Ważne mi, ważne, zwiastują się rzeczy!
Jest Bóg, co ludzkie sprawy ma na pieczy;
Chwała mu wieczna! Miła gospodyni,
Niechaj z ufnością, co powiem, uczyni;
Bo z serca idzie szczera moja rada,
Uproście koni z wozem u sąsiada.

A tę życzliwość hojnie mu wrócimy,
Bo wszyscy w drogę wybrać się musimy.
Szczęścia spólnego wybiła godzina,
Pozna Halinę Wiesława rodzina."

5.

Wartko wóz toczą parskające konie,
Mijają mostki i wzgórki i błonie,
Cała rodzina siedzi zadumana,
Wesołość tylko nie opuszcza Jana.
Bo radość w sercu utajoną żywi,
Że dwie rodziny rychle uszczęśliwi.

Przydrożne lipy długie ścielą cienie,
Gore nad lasem niebieskie sklepienie,
I rzeźwą wonią tchnie wieczór pogodny,
Jest blisko drogi gościeniec wygodny.
Tam każą stanąć; bo choć wioska bliska,
Jednak ją dzielą zarosłe stawiska.
Przeto, nim w okół jadący okrąży,
Pieszy ścieżkami trzykroć pierwej zdąży.
Idą więc wszyscy ścieżkami wesoło,
A wóz pył wznosi okrążając koło.
Dziwnie Haliny twarz się uwesela,
Swawolna, więcej mówić się ośmiela.

Przebyli kładki i zaczepne krzewy;
Z błoni pastusze ozwały się śpiewy,
Które jéj bardzo do serca trafiły:
Tak na weselu nucił Wiesław miły.
A Jan uważnie pogląda jéj w lica,
Czy jéj nie będzie znaną okolica.
Wtém uroczyście od kościelnéj wieży,
Dzwon na modlitwę głos po rosie szérzy;
Pobożnie wszyscy padli na kolana,
A twarz Haliny, od zorzy oblana,
Podobną była do twarzy anioła,
Ale tęsknocie wytrzymać nie zdoła;
Do dziwnych marzeń głos dzwonka ją skłonił,
I niezważaną łzę z oka jéj zronił.
A idąc daléj na wzgórku stanęli;
Już tylko wioskę jedno błonie dzieli,
Z którego, krzycząc swawolne pachołki,
Spędzają na most i krówki i wołki.

—◎—

Skrzypią z ról czarnych wracające pługi,
A cała wioska, jako ogród długi,
W kwitnących sadach niskie strzechy kryje,
Z których dym kręty ku niebu się wije;
A stary kościół, z blaszanemi szczyty,
Ponad wsią błyszczy, lipami zakryty;
Wieża, z któréj dzwon o milę donosi,
Już pogrzéb piątym pokoleniom głosi.

Gdy tak na wszystkie poglądają strony,
Jan się zapytał, na laskę schylony:
„Jak ci się zdaje to nasze siedlisko?
Chata Wiesława już tu bardzo blisko.“
Ale Halina w jednę patrzy stronę;
Bijące łono, usta otworzone,
Poznać dawały wielkie zadumienie;
Błogie się w serce cisnęło wspomnienie.
Nie mogła mówić, bo w takowym stanie,
Każdy jéj oddech zajmowało łkanie.

Dalej przy miedzy, naprzeciwko chaty,
Stoi krzyż Pański, pochylony z laty;
W około wierzby i zielona trawka,
Tam wiejskich dzieci niedzielna zabawka;
Tu już Halina pada na kolana,
W dłonie uderza i mówi do Jana:
„Mocny mój Boże! toć moja rodzina!
Gdzie moja matka, gdzie matka jedyna?
Jeśli już w grobie, na grób jéj pójść muszę,
Tu utęsknioną niech wyzionę duszę!
Tu się bawiałam, tu zbiérałam kwiatki,
Ale nie widzę rodzicielskiéj chatki:
Bo tu inaczéj wszystko dawniej stało;
Nie tak, jak mi się w pamięci zjawiało.“

Tu Jan o ziemię kij i czapkę rzucił,
Klęknął i pod krzyż oko swoję zwrócił;
„Tu naprzód, rzecze, na kolana padaj,
Tu już nie pytaj, ale dzięki składaj!
Widzisz tę ziemię, jak jest wydeptana?
Twoja to matka, matka żałowana,
W modłach za tobą tak ją wyklęczała;
Bóg nas doświadcza, Bogu zawsze chwała!
Bóg litościwy i ciebie ratował,
I ojców twoich przy zdrowiu zachował;
Wzmogli się znowu po niszczącym boju,
Z sierotą dzieląc owoce pokoju;
Chatkę i córkę stracili w potrzebie,
Dziś w nowej chacie uściskają ciebie.“

Klękła Halina, Wiesław za Haliną,
A zamiast modłów łzy z oczu im płyną,
Łzy, które czystsze od rosy widzieli,
Które jak perły liczyli anieli.
A kiedy wstała, już uczuć nie kryje,
Ściska Wiesława i Jana za szyje.

Spieszą w podwórko, lecz ojców nie było;
Patrzy Halina, co się odmieniło.
Tak spodziewanych od pola czekali,
Aby Halinie wypoczynek dali.

Już też Stanisław od łąk wraca z kosą,
Idzie i żona, konicz krówkom niosą;
Naprzód z bławatem szła Bronika mała,
Goście w podwórku ojcom wskazywała.
Chciał Jan, by Wiesław naprzeciw pośpieszył,
Ażeby matkę szczęśliwą ucieszył.

Jak się witała rodzina złączona,
Jedno drugiemu oddając do łona;
Jakie pytania, dzięki, odpowiedzi;
Jako się zbiegli ciekawi sąsiedzi;
Jako Bronika starszą siostrę ściska,
Nie znając straty, a czując co zyska:
Tego wam, moi mili towarzysze!
Jakobym pragnął, nigdy nie opiszę;
Na tém więc kończę, bo wy, co czujecie,
Lepiej to sami sobie opiszecie.

